

## **Marta Kwaśnicka: Jak najlepiej siebie zmyślić**

Dziennik Herlinga jest kreacją literacką, jest tym, co mu zastąpiło „wielką powieść”, której nigdy nie napisał



**Dziennik Herlinga jest kreacją literacką, jest tym, co mu zastąpiło „wielką powieść”, której nigdy nie napisał**

Był 3 czerwca 1976 roku. Herling przyjechał do Pragi na uroczystości ku czci Franza Kafki. Wyjazd na drugą stronę Żelaznej Kurtyny był dla niego sporym przeżyciem. Po pierwsze – posiadał przeszłość, jaką posiadał. Po drugie (i w związku z pierwszym) – był na sfałszowanych

papierach. Bał się panicznie, a ponieważ strach tego typu odbiera zdolność racjonalnego myślenia, zdawało mu się, że z każdym gestem pcha się tylko w łapy lokalnych służb. Wybór hotelu, a nawet taksówki – wszystko było zbyt nerwowe, zdradzające jego „nieczyste” papiery. Po plecach ciekła mu strużka ziemnego potu, czuł duszności, w niewielkim pokoiku, w którym go zakwaterowano, miał napady klaustrofobii.

Wieczorem w ambasadzie amerykańskiej słuchał wystąpienia prof. Popradka, który, od kiedy naraził się władzy, pracował w miejskim wychodku. Popradek był jednak specjalistą od Kafki, więc Amerykanie, zwykle dość giętki i nie chcący się narażać lokalnej władzy, poprosili go o przygotowanie krótkiego wykładu na temat „Budowy Muru Chińskiego”. Kafka napisał go właśnie w budynku, w którym teraz mieściła się siedziba amerykańskiego przedstawicielstwa.

Popradek, ku przerażeniu młodej amerykańskiej asystentki, która przysiadła się do Herlinga, przyszedł w roboczym ubraniu (He probably stinks..., szeptała), przemawiał jak natchniony, mówił o systemie, który zaczyna przerastać jednostki, żyć z tych jednostek, ale już niezależnie od nich; o imperium, które chciałoby się przycisnąć choć raz do piersi, a potem umrzeć. I, mówił Popradek, niemożliwość uczynienia tego jest największą siłą jednoczącą naród.

Herling pił potem na umór. Do hotelu odwiózł go jakiś nieznajomy. Autor „Dziennika” przysięgłby, że ten sam, który parę godzin wcześniej leciał razem z nim w samolocie, jak jakiś smutny osobisty opiekun.

4 czerwca Grudziński zanotował: *Wszystko to jest naturalnie zmyśleniem, płodem imaginacji powstałym z notatki we wczorajszym „Le Monde”* (notatka informowała, że takie spotkanie się odbędzie). Pisarz nie ruszał się nawet z domu.

Ale, oczywiście, cała historia zawiera prawdziwe elementy. Prawdziwy jest paniczny strach, który dopada więźnia łagru w pobliżu systemu, który stworzył miejsce jego kaźni, bo nieraz dopadał. Prawdziwa jest klaustrofobia, która nachodzi go w małych pomieszczeniach, tutaj zresztą nieprzypadkowa, bo przecież wszystko dzieje się w kontekście Kafki. Prawdziwy jest motyw podróży i uczestnictwa w okolicznościowych odczytach. To elementy życia Grudzińskiego, tylko ustawione w innej kolejności, jakby ktoś przewrócił kalejdoskop. Obróć tubę i spójrz znowu, look again.

Wiadomo nie od dzisiaj, że Herling należał do tych autorów, którym bardzo trudno jest całkowicie zerwać z rzeczywistością. Pisarze tego typu muszą budować na sobie, na tym, co rzeczywiście im się przydarzyło; przetwarzać to, wymieniać elementy, nieco dodawać i trochę przemilczać, ale trzymać się jakiejś prawdy, chociażby miejsc i nazwisk. Najlepiej życia już przez kogoś przeżytego. U pisarzy takich jak Herling nie znajdziemy zatem wielkich wyimaginowanych fabuł. Nie ma tutaj szansy na romans szpiegowski czy powieść science-fiction. Gdziekolwiek pójdziemy, wrócimy zawsze w okolice ich własnego ogrodu albo do fotela, z którego patrzą przez okno, poznamy sąsiadów i dowiemy się, że mają dziwne zwyczaje, nawet jeśli nie mają.

Wiele razy zastanawiałam się, skąd bierze się ta niemożność; wydaje się ona czymś wrodzonym, pewną funkcjonalnością umysłu. Niektórzy mają zielone oczy, inni znamiona na szyi, a jeszcze inni literacko są przykuci do rzeczywistości; imaginacja takich autorów pokrywa rzeczy jak złota pleśń, ale nigdy nie traci ich z pola widzenia. (Nawiasem mówiąc, istnieje ciekawy fenomen literackiego pokrewieństwa. Tak jak można spotkać dwie osoby podobne do siebie jak krople wody, chociaż w ogóle niespokrewnione, można również napotkać pisarzy, którzy dzielą przynajmniej część z puli literackich genów i którzy zadziwiająco podobnie patrzą na świat, nawet jeśli się wcześniej wzajemnie nie

czytali. Tak właśnie w literaturze rzeźbione są koryta literackich kontynuacji).

Jeśli jednak trzyma nas na wodzy horyzont rzeczywistości, to trzeba się pilnować i nie odsłaniać zbyt wiele z siebie. Kołdra z pleśni musi być, koniecznie musi, solidna. Herling jest z tych, którzy od razu wszystko szyfrują. Niech się czytelnik głowi, co jest prawdą, a co nie (11 sierpnia 1974):

*Nie lubię w ogóle dzienników zbyt osobistych. Prawie zawsze narzucają autorom reguły gry, nad którymi stopniowo, krok po kroku, zaczyna panować przyszły czytelnik. Do twarzy mi z tym? A z tym? Jęknąć głośno? Przyciszyć jęk? [...] Dziennik dobry, czy w każdym razie wart czytania, jest ten, w którym pisarz wysuwa tylko co pewien czas czułki ze skorupy. I natychmiast je chowa.*

I dalej:

*Maksymalna szczerłość jest w literaturze wyobrażalna, dopóki korzysta z licencji osoby trzeciej albo pierwszej umownej. W dzienniku jest zgodą na suflerów czy szczerością aktorską. Z czego wynika, że wyznaczam mu status specjalny, na peryferiach literatury.*

Dziennik Herlinga jest kreacją literacką, jest tym, co mu zastąpiło „wielką powieść”, której nigdy nie napisał. „DPN wypełnia wszystkie moje ambicje literackie. Mnie on całkowicie wystarcza i chyba dlatego nie napiszę powieści. Moim opus magnum będzie więc Dziennik” – notował.

Ale kiedy granica pomiędzy życiem i literaturą jest tak cienka, kiedy jest umowna, pojawia się jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Życie codziennie dostarcza materiału na literaturę. Sztuką jest utrzymanie

równowagi między jednym i drugim, ale przede wszystkim – nie dać się pokonać literaturze, która zagarnia coraz więcej, i z czasem, jeśli jej pozwolić, bierze także to, co jej się nie należy. Już lepiej, kiedy, jak to było u Bobkowskiego, nad literaturą zwycięża życie i „wielka powieść” wcale nie powstaje, ani w ogóle nic stricte literackiego, tylko – po wspomniałym dzienniku – plik błyskotliwych listów, do tego najwyżej kilka opowiadań, i to średniej jakości.

Herling przytacza z kolei przykład przeciwny – casus Cesarego Paveseego, który, jak relacjonuje, przegrał z literaturą, w dzienniku zbyt się rostrwonił, rozcieńczył i ostatecznie popełnił samobójstwo. *„Jestem jak Laokoon. Ozdabiam się artystycznie wężowymi girlandami i każę się podziwiać, potem od czasu do czasu uprzytamniam sobie, w jakim jestem stanie, i otrząsam się z węży, odrywam je, a one wiją się i gryzą. Ta zabawa trwa niezmiennie od dwudziestu lat. Zaczynam mieć jej dosyć”* – cytuje go GHG.

W balansowaniu na linii pomiędzy życiem a literaturą wyjście Herlinga było jak dotąd najlepsze. Tutaj życie i literatura toczą się równolegle, spotykają się regularnie, ale jedno nie niszczy drugiego. Efektem jest całość fragmentaryczna i monumentalna; jakby ktoś zbudował katedrę z polnych kamieni. Czy zatem dla autorów z przerostem poczucia rzeczywistości literacki dziennik to jedyne możliwe wyjście? Może tak, może nie. Naprawdę nie wiem.

*Marta Kwaśnicka*

Przeczytaj więcej tekstów na blogu autorki